

Maria Kaszkiel

## Wtedy (fragment)

Prawda zaledwie wyziera

**wtedy**

1. zaimek odnoszący się do pewnego czasu w przeszłości lub przyszłości, o którym mowa w zdaniu, np. *Wtedy nie było jeszcze telefonów.*

2. zaimek odnoszący się do sytuacji, której zajście zależy od spełnienia pewnego warunku, np. *Jeśli o tym porozmawiamy, wtedy pewnie wszystko się wyjaśni<sup>1</sup>.*

### Miejsca. Sień

Mama zgubiła się chyba wczesną wiosną. W piątek. Albo w poniedziałek.

Postawiła Isię i walizkę w chłodnej sieni pod schodami.

– Nie będę wchodzić do środka. Śpieszę się, już i tak jestem spóźniona. – Ciężko oddychała, a jej twarz była czerwona i mokra.

– Może coś zjesz?

– Nie. – Głos przeciął chłodne powietrze na pół i Isia nagle znalazła się po drugiej stronie. – Przecież mówiłam mamie... – Machnęła ręką. – No nic. Lecę.

Pochyliła się i czerwonymi ustami musnęła czoło Isi. – Pa! – Wskazującym palcem rozmasowała ślad szminki; odcisk ust zamienił się w krwawą smugę. – Będę... może uda mi się co jakiś czas przyjeżdżać. – Patrzyła gdzieś ponad głowami. – Pa!

– Ale...

– No tak, bym zapomniała. – Wyciągnęła z kieszeni kopertę. – Jak zabraknie, prześlę albo...

– Dobrze, dobrze... – Babcia szybko włożyła kopertę do kieszeni fartucha.

Isia stała wyprostowana, ściskając rączkę walizki.

Mama się odwróciła. Jak królowa w talii kart na drugą, nieznaną stronę. Zniknęła w prostokacie światła.

– Chodźmy już. – Babcia z westchnieniem wzięła walizkę. Ręce Isi niczym zwiędłe lodygi zwisały wzdłuż tułowia. Ani drgnęła. Pozostała nieporuszona.

– No chodź, chodź, zupełnie nastawiłam, dam ci kiszzonej kapusty z cukrem albo usmażę placki... z jabłkami... – Jej głos nikał w ciemnym korytarzu.

### Miejsca. Korytarz

Isia wiedziała już, że do każdego mieszkania prowadzi długi, mroczny korytarz, na końcu którego są drzwi.

Ten był i długi, i wysoki, i wąski. Ściany cisnęły się do siebie, a sufit uciekał w ciemność.

– Zmieścisz się – śmiał się dziadek, który klął policzkami i pachniał drewnem. – Patrz! – I rozpościarał ramiona tak, że palcami dotykał ścian.

– Ale jest ciemno.

– Zapalę lampę, widzisz? – Przekręcał włącznik umieszczony wysoko, tuż przy drzwiach do mieszkania. Isia wiedziała, że i tak do niego nie doskoczy.

W żółtawym, mętym świetle żarówki wcale nie było lepiej. W kąty spadał mrok, a na ścianach tańczyły obce cienie.

– Dziadku, a Szalona Zośka? – szeptała Isia i skinieniem głowy pokazywała na drzwi po lewej stronie.

– E tam... – Dziadek machał ręką i splotował. – Głupia baba. Tylko jej w głowie... – urwał. I znieścacka dodał: – „Zośka cyk, no to cyk. Obesrane pięty”. – Zaśmiał się krótko i rozkaszał. – Dzieciaki jej śpiewają takie durnoty pod oknami, to i wrzeszczy. Obsrajdusy przekłete. Tfu!

<sup>1</sup> „Wtedy”, *Słownik języka polskiego PWN*, <https://sjp.pwn.pl/sjp/wtedy;2538353.html> (dostęp: 28.10.2023).

Dziadek uznał, że mówił za długo, wyjął więc bibulkę i polizał dłuższy bok.

– Potrzyjmy tytuń. – Podał Isi metalowe pudełko, nasyłał szczyptę, pokręcił, pokręcił, włożył w szklaną rurczkę i zapalił; ogienek zamigotał wesoło.

### Miejsca. Wejścia, wyjścia

Ale wesoło nie było, dziadek pracował, wracał wieczorami, a wchodzić i wychodzić trzeba. Wychodzić i wchodzić. Wchodzić i wychodzić.

Wyjść z było łatwo. Na końcu jaśniał otwór zawsze otwartych drzwi prowadzących do sieni; a i można było włączyć światło, jeśli się weszło na stołek. Babcia mówiła „taboret”. Od razu dała Isi taki okrągły, przy którym mogła jeść, siedząc na taboreciku, bo stół był trochę za wysoki.

Wejść do było trudniej. Zawsze wchodziło się w coraz głębszą ciemność, światło zostawało za plecami. Isia nauczyła się, że są dwa wyjścia, czy raczej należało powiedzieć „wejścia”.

Albo. Można przebiec, wyciągając ręce przed siebie, z prawie zamkniętymi oczami, wymacać klamkę i wbiec do środka mieszkania, trzaskając drzwiami.

Ale... Trzeba było minąć boczne drzwi składziku i kolejne Szalonej Zośki, która przecież mogła wyskoczyć w każdej chwili, ale nie, zawsze siedziała w oknie, z lokówkami na głowie, w szlafroku. „Biała purchawka z papierosem w gębie” – mówiła babcia.

Ale... można było, co gorsza, upaść, zaplątać się w chodniki i nie wstać, i utonąć w podłodze, i wrzeszczeć, aż ktoś usłyszy. A co, jeśli...

Czyjeś miękkie ręce usiłowały podnieść Isię. Białe, białutkie, aż się świeciły w ciemności. Zamknęła szybko oczy. Ktoś posapywał i pochrapywał. Czula zapach papierosów i konwalii. „Jak mama!”. Otworzyła jedno oko. W miejscu ust to rozpalał się, to przygasał ogienek. „Biała purchawka z papierosem w gębie!”

– A ty to ta mała? Od Mackiewiczów? – Rozkaszłała się, aż Isia bała się, że ją rozerwie na pół i flaki wypłyną na ziemię. Skuliła się, wciskając buzię w zmięty chodnik. – Słyszałam ja. Matka cię zostawiła. I pewnie jeszcze powiedziała, że wróci... – Śmiech zmieszał się z kaszlem. Ciepłe, miękkie palce pogładziły Isię po plecach. – Oj, to Mackiewiczka będzie się na stare lata uwijać, oj, będzie... I dobrze jej tak... A tobie co? Koziołków się zachciało? Fiku-miku na patyku. No, już! – Postawiła ją na nogi.

Isię uderzył zapach potu. Przed oczami kołysały się dwie potężne białe buły jak z drożdżowego ciasta babci. „Jezu, ratuj!”

– Może wejdiesz do mnie? – spytała głosem niespodziewanie słodkim jak lukier.

– Nie... – zdołała wydusić Isia i uciekła, nie oglądając się za siebie. Gonił ją chrapliwy śmiech. I ledwo wyczuwalny zapach konwalii.

Albo. Można odwrotnie; nie biec, tylko skulić się, zwięzić, z wszystkich sił zanieistnieć (och! Isia wciąż doskonaliła się w tej sztuce) i wyteżając wzrok, stąpać uważnie, by nie nadepnąć myszy. Są, są, niech babcia nie kłamie, sama słyszała ich popiskiwanie, a nawet widziała ich malutkie, zwinne cienie.

– Ale, babciu, gdyby tak dotknęła mojej nogi, taka miękka i taka... żywa... Brrr! – I przewracała oczami, i wywalala język, żeby pokazać, jak się brzydzi. Babcia potrafiła kopnąć mysz.

Przed drzwiami do mieszkania po prawej stronie wisiały wilgotne ubrania dziadka, ciężkie od potu kufajki (tak mówił dziadek na swoje kurtki), sztywne spodnie pachnące trocinami; stały też gumowe buty z wetkniętymi wełniskarpetami. Ten dziadkowy zapach oznaczał wybawienie, wystarczyło tylko wyciągnąć rękę i wymacać klamkę...

Ale... gdy szło się wolno, powietrze stawiało opór, ciężkie od splełanych niejasnych woni. Czegoś tak lepkiego i gęstego jak zły sen. Nie było wiadomo, czy nie jesteś już po drugiej stronie.

*Śni mi się często, że stoję po drugiej stronie drzwi, w mieszkaniu babci, ktoś z zewnątrz szarpie za klamkę, a ja nie mogę otworzyć, bo nie mam klucza. Lub obracam kluczem w zamku, ale klucz nie pasuje, upada na podłogę.*

Raz, gdy Isia zebrała się na odwagę, a może odwrotnie, zabrakło jej odwagi i postanowiła prześlizgnąć się przez korytarz, zobaczyła smugę światła zza drzwi składziku; tak mówiła babcia: „składzik”. A przecież był też łazienką, miał sedes i wannę, ale Isia z niej nie korzystała; była brudna, aż czarna, i tylko dziadkowi służyła do kąpieli co sobotę. Isia z babcią kąpały się w miednicy. „W miednicy” – tak mówiła babcia. Nie w misce.

A mama mówiła: w misce, stołek, i bała się myszy. Krzyczała: „zabierzcie to stąd”, wymachiwała rękami, wskakiwała na stół i w ogóle nie patrzyła, gdzie jest Isia. Nie widziała Isi, tylko myszy. Ale Isia widziała. Widziała, że mama ma tyle strachu, że nie ma już w niej miejsca na czyjś inny.

Zza drzwi sączył się teraz dziwny zapach. Chyba już go kiedyś czuła, ale teraz był intensywny i natarczywy. Zatrzymała się, nacisnęła klamkę i wolno otworzyła. Na deskach rzuconych na wannę leżał rozłożony na pół, pozbawiony wnętrzości świniak. Parował. Jakby ciągle oddychał. Isia wyciągnęła ręce. Czuła ciepło. Słodkawy zapach zmieszany z wonią spalenizny powoli owijał się wokół niej i wypełzał na korytarz. Isia stała nieruchomo dłuższą chwilę. Patrzyła na jamę pustego brzucha, sterczące kopytka, małe popalone włoski w różowej skórce. Wyszła, ostrożnie zamykając drzwi.

W kuchni babcia mieszała w misce krew z octem. „Żeby się nie ścięła”.

### Obraz

Krew kapła z ogromnej głowy Jezusa. Krople spływały po buzi i włosach. Ranily go ostre patyki splecione w wianek. Jak by Isia nie odwracała głowy, w lewo, w prawo, w górę, w dół, i tak zawsze go widziała, a on patrzył na nią ze smutkiem. Mogła zamknąć oczy, ale jak jeść śniadanie z zamkniętymi oczami?

Obraz wisiał w kuchni nad stołem.

Któregoś dnia Isia zauważyła, że pojawiły się przezroczyste lzy. Były widoczne tylko wtedy, gdy stanęła z boku i przechyliła głowę.

– Babciu, Jezus płacze! – wykrzyknęła.

– Płacze, pewnie, że płacze. – Nawet się nie odwróciła.

– Ludzie grzeszą, to i płacze. – Babcia zaczyna śpiewać:

*Ach, mój Jezu, co za boleść,*

*Cierpisz w ostrej koronie.*

*Twarz najświętsza zakrwawiona,*

*Głowa wszystka w krwi tonie.*

– Zaśpiewaj jeszcze raz. – I babcia śpiewa. A więc te patyki to korona? Co to za król? Co to za korona? Po co taka korona, która boli? I głowa tonie. . .

– Babciu, czy głowa utonie? I wszystko? We krwi?

– Co ty wygadujesz za durnoty? – Babcia śpiewa dalej:

*Przyjdź, mój Jezu,*

*Przyjdź, mój Jezu,*

*Przyjdź, mój Jezu, pociesz mnie,*

*Bo Cię kocham serdecznie.*

Isia słucha uważnie i się dziwi: Przyjdź, przyjdź i przyjdź. Jak ma przyjść? Boli go, płacze i jeszcze ma pocieszyć babcię?! Przecież nic jej nie boli, tylko krzyż czasami. I śpiewa sobie, i nie nosi bolącej korony, tylko chustkę czasami. To do niego trzeba iść i jego pocieszyć.

Isia już nie dziwi się, że płacze. Boli go. Bardzo go boli. Oni wołają go i wołają, a on jest zupełnie sam, zamknięty w czterech ścianach ram.

– Ma mało miejsca.

– Co? – Babcia odwraca się od garnków, ale nie przestaje mieszać.

– No on. – Pokazuje głową. – Ma mało miejsca. Ściskają go te ramki. Ale i tak go kocham. Serdecznie – mówi Isia i je drożdżową bułkę z lukrem.

### Widok z okna. Czeremcha

– Zakwitła czeremcha – oznajmia babcia z samego rana, budząc Isię. Brzmiało to tak, jakby zaczynała się nowa epoka, nadchodził nowiusienki, wymyty w wiosennych deszczach czas.

– Zakwitła czeremcha – powtarzała cicho, wstawiając do wazonu kwitnące gałązki.

Pachniały bezgranicznie i słodko jak gęsty syrop lub lukier. Isia leżała w cieplej pościeli. Powieki były wciąż ciężkie od snu. Woal błękitnawego dymu powoli przysłaniał pokój. Przedmioty traciły ostre kontury, na wpół nieobecne. Pozwalała, by świat się rozplywał, by zapach ją pochłaniał. . .

Z kuchni dochodził wysoki jak szklana góra głos babci. Babcia śpiewała zawsze. Kiedy tylko wymamrotała poranne pacierze, zaczynała nucić. I tak do wieczora.

*Rozkołysał się czeremchy biały kwiat*

*I pochyla się kwitnący krzew,*

*A zza rzeki znów znajomy dzwoni głos*

*I słowiczy nocą słyhać śpiew.*

– Czeremcha. – Isia wypowiada dokładnie każdy dźwięk. – Cze-rem-cha – powtarza. – Czere-ere. Czere-ere. – Dźwięki wibrują. – Mcha! Mcha! – Teraz wybuchają. – Co to za dziwne słowo? Z innego świata? Śpiewa, a zarazem zgrzyta jak piasek między zębami.

Poznała już czeremchę. Rosła taka samotna w kamiennym wąwozie podwórza, naprzeciw okien mieszkania babci. Tulila się do bezokiennego muru sąsiedniej kamienicy. Kiedy lepka zieleń ledwo ochlapała gałęzie, buchnęła bielą, jakby falą kwiatów chciała zalać szary świat.

Isia słucha: . . . *zza rzeki . . . znajomy . . . głos . . .* Otwiera szeroko oczy. Do cieplej woni wkrada się wilgotny, ciemny ton, oddech ziemi.

Isia ostrożnie podchodzi do stołu, mruży oczy i powoli zanurza twarz w gąszcz kwiatów, które z bliska ukazują jasnożółte, pyłące wnętrza. Wciąga zapach tak głęboko, aż wypełnia ją całą i czuje lekki zawrót głowy.

– Uważaj. – Babcia wychylała głowę z kuchni. – Uważaj – powtarzała, ale nie dodawała nic więcej, więc Isia nie wiedziała, na co ma uważać. Babcia śpiewała dalej.

*Do miłości wiecie ta najdłuższa z dróg,  
Gdy z niej zboczysz, już zgubiony szlak.*

I znowu:

*Do miłości wiecie ta najdłuższa z dróg,  
Gdy z niej zboczysz, już zgubiony szlak.*

Isia z ociąganiem odchodziła do swoich codziennych spraw, ale zapach jej nie opuszczał. Snuł się za nią cały dzień. Chciała wiedzieć, na co ma uważać.

Kiedy nikt nie widział, wpadała do pokoju i podchodziła do stołu. Kwiatki coraz bardziej przypominały białawe, smętnie zwisające robaczki. Zaciągała się ich wonią, ale wydawała się jej coraz słabsza, coraz zimniejsza.

Wieczorem babcia mówiła: „Czuć trupem”, i wynosiła bukiet na śmietnik.

#### **Widok z okna. Trzepak**

Stał pod czeremchą. Niepotrzebny, dopóki ktoś nie powiesił na nim pstrego chodnika lub wytartego dywanu. Niewidoczny, dopóki ktoś nie zawisł na nim głową w dół.

Tego dnia Isia obudziła się wcześniej. Babci jednak i tak już nie było. Zimnymi stópkami pobiegła do okna. Nie odsłoniła firanki. Wspięła się jedynie na paluszki, żeby lepiej widzieć. Na trzepaku wisiał powieszony na sznurku jej kot.

– Zesrał się. – Śmiali się chłopcy. – Naprawdę się zesrał.

#### **Widok z okna. Balkon. Dawniej niż wtedy**

Jest historią babci. Babcia, jak nie śpiewała, to opowiadała.

Isia widziała ten balkon codziennie z kuchni i z pokoju. Wychodził na podwórko, tuż nad wejściową bramą. Należał

do mieszkania na pierwszym piętrze, a mieszkanie należało do rodziny Góreckich. Pani Górecka miała syna Maciusia i córkę Helenkę. Nosiła ciemne włosy, gładko upięte z tyłu głowy. W niczym nie przypominała rozczochranych, spocynych mam innych dzieci. Nigdy nie krzyczała, mówiła wysokim, melodyjnym głosem. Pana Góreckiego nikt nigdy nie widział.

Maciuś był chłopcem wysokim, bladawym. Poruszał się wolno na patykowatych nogach. Nosił śmieszne marynarskie ubranka i wysokie podkolanówki. Helenka była jego przeciwieństwem – żywa, ruchliwa, z ciemnymi kręconymi włosami.

Maciuś nie miał łatwego życia. Chłopcy ciągnęli go za ubranie, podstawiali nogę, Bóg jeden wie, co tam z nim jeszcze robili. Jednak największą osobliwością były jego kupy.

– Ty, patrz, jakie białe! Widziałeś kiedy coś takiego?

– Nigdy. Nikt tak nie sra – mówili z zachwytem, przyglądając się białawym stożkom.

– A w środku?

– Co w środku?

– No też białe?

– No co ty?! Będziesz grzebał?

– A grzebnę parę razy. . . – I już rozgarniał patykiem kupę.

– Biała, cała biała – dziwił się. – I nie śmierdzi.

– No. Sra jak anioł. – Śmiali się i biegli dalej do swoich zajęć.

Przybiegały dziewczyny i też dziwiły się niezwykłemu zjawisku. Maciek nawet trochę zyskiwał w ich oczach – taki błądy i robi takie jasne kupy. Rzeczywiście jak anioł.

Helenka wpadła pod samochód. Nikt nigdy nie słyszał krzyku pani Góreckiej. Aż do tej pory.

## MARIA KASZKIEL

– długodystansowiec (feminatyw – długodystansowczyni?): polonistka – 11 lat z przerwami i zmianami uczelni, polonistka – 37 lat w jednej szkole, emerytura – oby równie długo. Lubi słowo pisane i mówione, podróże małe i duże, góry w każdej postaci, z przewagą Tatr. Marzy o przejściu Orlej Perci – etapami (niektóre już zaliczone). Nie lubi nachalnego dydaktyzmu w pisaniu dla dzieci. Opowiadajki wzięły się z wieczornych: „Babciu, opowiedz coś”.





Martyna Kwaśniewska / PLSP w Supraślu